Rok XXXVII | Niedziela 16 listopada 1930 | Należytość pocztowa opłacono ryczałtem. | Nr. 46

GAZETA KOŚCIELNA

TYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KOŚCIELNYM

Prenumerata: Całoroczna 20 zł., — kwartalna 5 zł. Zagranicą 25 zł. Numer poj. 40 gr.
Cena ogłoszeń: Cała strona 110 zł., drobne po 60 gr. od wiersza petitu.

ORGAN STOWARZYSZEŃ KAPŁAŃSKICH W POLSCE.
Własność Tow. Wzajemnej Pomocy Kapłanów we Lwowie.
Redagują:
X. Dr. Aleksander Pechnik i X. Franciszek Błotnicki.

Redakcja i Administracja: ul. Ormiańska 13 Tel. 24-61.
Konto czekowe P. K. O. Warszawa Nr. 151.755
Rękopisów nie zwraca się.

Od czego trzeba zacząć reformę szkolnictwa?

Bardzo dobrze czyni nasza polska prasa, że corocznie z racji zakończenia czy też początku roku szkolnego powraca do tematów szkolnych.

Jedną bowiem z głównych przyczyn niedomagań w naszych szkołach średnich był dotychczas brak głębszego zainteresowania się niemi ze strony społeczeństwa.

Nauczycielstwo wziąwszy sprawę wychowania młodego pokolenia w swój własny tylko monopol, zasklepiło się w sobie, jakby jakaś tajemnicza kasta i traktuje szkołę z własnego tylko punktu widzenia, nie potrzebując się wcale liczyć z biernym i apatycznym ogółem.

Tymczasem częste przewietrzanie zapomocą prasy naszych zatęchłych zakamarków szkolnych jest pierwszym krokiem do ich gruntownej sanacji.

Drugim warunkiem naprawy niezdrowych stosunków będzie należyty podział pracy między szkołę a społeczeństwo w dziele wychowania. Dotychczas bowiem — iure caduco — działo się tak, że szkoła t. j. nauczycielstwo, względnie jego takie czy inne związki wraz z administracyjnemi władzami szkolnemi decydowały nie tylko o środkach wychowywania, ale i o jego celach. Tymczasem zadanie nauczyciela nie polega na tworzeniu wychowawczych ideałów, ale tylko na doborze, zgodnie z psychologją dziecka, najwłaściwszych środków do osiągnięcia celów, dyktowanych przez ogół rodziców, czyli społeczeństwo. Genjusz każdego narodu nie może się liczyć z żadną partyjnością, czy będącą wynikiem chwilowej politycznej konjunktury doktryną społeczną; on jest wyższy ponad wszystkie ugrupowania i stany, wolny, niezależny. Wielkości tego ducha nie może wyczuć dobrze jednostka, choćby ona była nietylko na kursach wakacyjnych dokształconym pedagogiem, ale nawet wylosowanym przez klucz partyjny ministrem oświaty.

Wzniosłym jest urząd nauczycielski, ale z tego jeszcze nie wynika, że jednostka o charakterze nauczyciela, uposażonego według danej kategorji płac, miała aż odgrywać rolę nauczyciela narodu, w rodzaju jakiegoś wieszcza czy wodza. By szkolnictwo polskie mogło kiedyś spełnić swoje zadanie zgodnie z naszem posłannictwem cywilizacyjnem, musi nauczycielstwo cokolwiek spuścić z tonu i ograniczyć się do swojego właściwego zakresu działania, t. j. do roli wykonawców woli ogółu co do celów wychowawczych, bo w nim właśnie tylko przejawia się ten genjusz. Jeżeli pedagogika dzisiejsza nie tylko nie może się poszczycić pomyślnemi rezultatami jej praktycznego stosowania, ale, jak to ogół stwierdza, wykazuje tak często bilans ujemny, — to przyczyna tego leży w lekceważeniu postulatów ducha narodowego i w wynikającej stąd anarchji pojęć co do celów wychowawczych. Jakżeż ma kiedykolwiek rozwinąć się wychowanie młodego pokolenia w duchu narodowych ideałów, jeżeli tyle mamy systemów wychowawczych, ile szkół, a nawet nauczycieli, jeżeli duch krótkowzrocznego partyjnictwa czy osobistego „widzi mi się" wpływa na praktykę pedagogiczną nauczycieli?

Czas już najwyższy zerwać z biernością. Społeczeństwo musi zająć wreszcie wobec szkoły stanowisko czynne i ustalić cel, do którego szkoła w wychowaniu zdążać powinna. Wychowanie jednak, podobnie jak budowa gmachu, wymaga konkretnie nakreślonego planu. Komunały, jak np.: szkoła ma przysposobić młodzież do życia moralnego, społecznego, obywatelskiego, narodowego i t. p., mają taką samą wartość, jak gdyby ktoś powiedział do murarzy: „Wybudujcie dom piękny, trwały i okazały!" Autorowie wielu podręczników pedagogicznych najrozmaitszych kierunków wskazują na charakter i wartość człowieka jako cel zabiegów wychowawczych; jaki to jednak ma być charakter, w czem tkwi istota wartościowej osobowości, tego nie starają się należycie określić.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w dobie panowania wybujałego subjektywizmu i anarchji pojęć we wszystkich dziedzinach życia, trudno mglistym komunałom pedagogicznym nadawać jakieś konkretne znaczenie, bo łatwo się narazić na zarzut: „Czemu tak a nie inaczej?" Ponieważ

jednak wszyscy muszą się przynajmniej na to zgodzić, że bez jednolitości kierunku wychowawczego nie może być o wychowaniu ani mowy, dlatego przystępując do sanacji stosunków szkolnych, należy wpierw zastanowić się nad sposobami skonkretyzowania wypadkowej wszystkich subjektywizmów w dziedzinie celów i zasad pedagogiki polskiej. Jeżeli opinja publiczna uświadomi sobie swój obowiązek zajęcia czynnego stanowiska w stosunku do szkoły, czyli gdy wyjdzie z roli nic nie czyniącego a wiecznie krytykującego malkontenta, to o front wspólny nie będzie już tak trudno jak obecnie. Poruczenie zresztą wyszukania celów i podstawowych zasad wychowania narodowego specjalnej jakiejś Komisji Nauczania Publicznego możeby było najlepszem wyjściem z tej trudności. Bez ścisłych, wyraźnych i bezwzględnie obowiązujących przepisów co do celów i zasad, kwestja wychowania z punktu martwego, na jakim od pewnego czasu utknęła, nie postąpi ani kroku naprzód. Gdy przepisy te ustali wybrana z woli narodu jakaś Naczelna Rada Wychowania Publicznego, to administracyjne władze szkolne będą miały obowiązek czuwać, by podwładne im nauczycielstwo ściśle się do nich stosowało w wychowywaniu młodzieży.

W ten sposób położy się kres wszelkim, co parę miesięcy rozmyślanym konceptom reformistycznym a nauczycielstwo i jego związki, zamiast głowić się na swoich zjazdach nad podstawami i celami wychowania, mając już z góry nakreśloną wytyczną działania, obróci swe siły raczej na udoskonalenie najwłaściwszych metod, które do celów tych wiodą. Nic tak nie zniechęca do wszelkiej pracy jak dojutrkowość czyli bezplanowość. Niedostateczne uposażenie nauczycielstwa jest bezwątpienia źródłem zniechęcenia i braku entuzjazmu do wysiłków w pracy wychowawczej, lecz jeszcze większą przyczyną tego jest bezplanowość tej pracy. Jeżeli nadal będziemy się w szkołach obchodzili bez jednolitego i stałego systemu wychowawczego, to choćbyśmy nauczycielstwu dali nawet pensje ministerjalne, poziom naszych szkół ani trochę przez to się nie podniesie.

X. Antoni Lorens.

O katolicką organizację wśród Rusinów.

Ze sfer unickich otrzymaliśmy następujące, bardzo cenne wiadomości o nowym ruchu wśród obozu ruskiego:

Dzienniki ukraińskie przyniosły w swoim czasie wiadomość, że z końcem września b. r. odbyła się narada grupy działaczy ruskich, skupionych koło katolickiego organu „Nowa Zorja“ i na naradzie tej postanowiono założyć nową partję, jaka przyjęła nazwę: „Ukraińska Katolicka Ludowa (narodna) Partja“.

Po wspomnianej naradzie ukazał się następujący komunikat „Dnia 24 września b. r. odbyła się we Lwowie polityczna narada, zwołana przez Komitet inicjatywny. W naradach uczestniczyli działacze miejscowi i z prowincji. Uznano jednogłośnie konieczność założenia Ukraińskiej Katolickiej Ludowej Partji i w tym celu wybrano organizacyjny komitet z prawem kooptacji, a celem jego jest przygotowanie pierwszego krajowego partyjnego zjazdu. W skład tego komitetu wchodzą radca Aleksander Salak, dr. Mikołaj Haluszczyński, Roman Hajduk, Al. Melnykowicz, Marja Janowicz i księża. Józef Rakowski i Piotr Hołyński.

Myśl założenia nowej partji kiełkowała już długo wśród pewnych kół ukraińskich, a ideologję jej przygotowywała od pięciu lat „Nowa Zorja“, zastępująca do niedawna Ukr. chrześcijańską Organizację (UCHO) przezwaną w lecie b. r. Ukr. Katolicką Organizacją (UKO).

Zapowiedzią utworzenia nowej partji były narady, jakie odbyły się w lipcu br. w Mikuliczynie, a w których uczestniczyli biskupi Chomyszyn, Kocyłowski, Łakota i Łatyszewski, ihumen lwowskich OO Bazyljanów Hałuszczyński, dr. Nazaruk i prof Tomaszewski. Na tej konferencji stwierdzono zgodnie, że *żadna z istniejących obecnie partyj ukraińskich w swojej ideologji nie odpowiada zasadom katolickiego Kościoła.*

W międzyczasie nastąpiło rozwiązanie sejmu, rozpisanie wyborów i utworzenie wyborczego bloku ukraińsko-białoruskiego, przyczem Undo związało się z dwoma socjalistycznemi partjami: ukr. socjalistyczno-radykalną i ukr. socjalno-demokratyczną.

Odpowiedzią na ten blok było przyśpieszone założenie nowej katolickiej partji.

Jakkolwiek powszechną tajemnicą jest, że głównymi twórcami nowej partji są. X. ihumen Hałuszczyński, dyr gimn. pryw. w Złoczowie X. Chmielowski, X. kanonik Hrynyk, dr. Nazaruk. dr. Tomaszewski, dr. Alfred Howykowicz (członek Rady miejskiej we Lwowie i dezerter z Unda), z taktycznych zdaje się, względów osobistości te pozostały w cieniu, a na czoło wysunięto ludzi nowych, w życiu publicznem zupełnie nieznanych.

O ideologji i programie politycznym nowej partji nie ukazała się dotąd żadna enuncjacja, ale dla czytelników „Nowej Zorji“ nie jest to żadną zagadką Nowa partja będzie zachowawczą i katolicką w duchu zachodnio-rzymskim. Dla ludności rzuci hasło realizacji międzynarodowych zobowiązań Polski, przyjętych na się w decyzji Rady Ambasadorów dnia 15.III 1923 w stosunku do ziem b. Galicji wschodniej i wykonania traktatu o narodowych mniejszościach w stosunku do północno-wschodnich kresów. Maksymalnym programem nowej partji będzie żądanie autonomji dla Małopolski wschodniej w granicach Rzeczypospolitej Polskiej Nie ulega wątpliwości, że powstanie nowej partji, opartej o powagę biskupów stanisławowskiego i przemyskiego byłoby ciosem przedewszystkiem dla Unda, którego prawe skrzydło, a przedewszystkiem duchowieństwo, przeszłoby prędzej czy później do nowego obozu.

Tak przedstawiała się sprawa założenia nowej partji do dnia 25 października. W tym to dniu ukazał się w dziennikach ukraińskich komunikat X. metropolity Szeptyckiego, wzywający swoich wiernych do utworzenia „Ukraińskiego Katolickiego Związku“. Komunikat ten jako dokument chwili cytujemy dosłownie:

„Ciężkie czasy i zbierające się nad nami jeszcze czarniejsze chmury zniewalają nas skupić się zwarciej jak dotąd i w oparciu o Bożą prawdę, we własnej silnej jedności bronić tego, co nam najdroższe i święte.

Wzywamy przeto i zachęcamy wszystkich katolików-ukraińców do zorganizowania katolickiego Związku na następujących zasadach:

1) Będziemy wiernie trzymać się i bronić katolickiej wiary i moralności również i w politycznem życiu.

2) Zachowamy posłuszeństwo dla Cerkwi w sprawach wiary i moralności.

3) Uważamy chrześcijańską rodzinę za podstawę narodu i na każdym kroku będziemy bronić jej praw, broniąc nierozerwalności małżeństwa i chrześcijańskiego wychowania młodzieży w swojej szkole.

4) Będziemy żądać i walczyć o sprawiedliwość społeczną, o rozbudowę ochrony społecznej nad włościaństwem, robotnikami, wogóle wszystkimi pracującymi, a przedewszystkiem społecznie pokrzywdzonych.

5) W jedności, zgodzie i karności zorganizowanej akcji, *stojąc na gruncie legalności wobec Państwa, którego jesteśmy obywatelami*, poświęcimy nasze siły, aby we wszelkich dziedzinach narodowego i politycznego życia *prawnemi środkami* zdobywać dla naszego narodu coraz większą oświatę, kulturę, dobrobyt i prawa. Wszechstronne dobro ukraińskiego narodu w chrześcijańskiem rozumieniu tego słowa — oto cel, do którego dążymy w politycznem życiu.

6) We wszystkich sprawach aktywnej polityki, nie naruszających katolickiej wiary, moralności jakoteż wyżej podanych społecznych i narodowych zasad — pozostawiamy członkom naszego Związku całkowitą wolność.

Chrystus naszą potęgą!

Lwów, 22.X 1930.

† *ANDRZEJ*
metropolita.

Nie trudno zrozumieć, że enuncjacja X. Metropolity poniosła się głośnem i szerokiem echem wśród ludności ukraińskiej i wywarła ogromne wrażenie. Wśród inteligencji panuje niezachwiane przekonanie, że inicjatywa X. Metropolity Szeptyckiego ma bardzo doniosłe znaczenie i w następstwie przyniesie aktywizację nowego, pozytywnego i silnego czynnika w życiu ukraińców, zamieszkałych w granicach Rzeczypospolitej Polskiej.

Wiadomo, że czynnika takiego dotąd nie było. Społeczeństwo poważnione ze sobą, rozbite na szereg ścierających się ze sobą partyj, partyjek, grup i kółek, przyczem nierzadko uwidoczniały się wpływy „z zewnątrz", było bezsilne, nie zdolne do pozytywnej pracy, do większego wysiłku. Poszczególne ugrupowania szły na pasku wybujałych ambicyj, karłowatych „wodzów", którzy, wykorzystując powojenną dezorjentację mas, bezceremonjalnie rozpychając łokciami, zdołali wepchnąć się na czoło politycznego życia i narzucić się na przywódców, obiecując wprowadzić znękaną przejściem ludność do ziemi obiecanej...

Na czele Katolickiego Związku stanie niewątpliwie b. senator Włodzimierz Decykiewicz, człowiek dużej wiedzy i kultury, wytrawny polityk, a przedewszystkiem zrównoważony i z umiarem, który pewnie nie da się wodzić za nos b. austrjackim auskultantom i innym „Fahnrichom".

Zdaniem naszem Związek katolicki odegrać powinien i pewnie odegra decydującą rolę w przekształceniu i odrodzeniu ukraińskiego społeczeństwa, a X. Metropolita, będąc jego inicjatorem i duchowym patronem, wskrzesza świetną tradycję tych czasów, kiedy metropolici haliccy wraz z dzierżeniem berła duchownego, łączyli i przewodnictwo w swoim narodzie.

St. Cz.

„Liberum arbitrium".

We wrześniu 1926 r. odbył się w Ameryce w Cambridge (Massachusetts) międzynarodowy zjazd filozoficzny. Był tam także jeden z polskich filozofów, prof. uniw. warszawskiego, Jan Łukasiewicz, ale odniósł wrażenie naogół całkiem ujemne. Zdaniem tego profesora wszystkie współczesne zjazdy filozoficzne mają poziom naukowy o wiele niższy od jakichkolwiek innych zjazdów naukowych. („Ruch Filozoficzny". Tom XI. Lwów 1928/9, str. 4). Dla zwolenników jednak filozofji teologicznej („philosophiae perennis") jest oczywistą przyczyna tego niskiego stanu współczesnej filozofji nieteologicznej. Filozofja świecka nie nawiązuje bowiem do ustalonych wyników badań myślicieli przeszłości, tylko każdy „nowoczesny filozof" uważa w swej fałszywej ambicji, że ma powołanie „przewartościować wszystkie wartości" i potem zaczynać wszystko na nowo, nie licząc się wcale z tem, że mu wypadnie pokonywać trudności niepomiernie większe, niż w jakiejkolwiek innej nauce szczegółowej.

Tymczasem prof. Łukasiewicz tę fatalną „filozoficzną samodzielność" swemi uwagami jeszcze paradoksalnie utrwala i pogłębia. Pisze bowiem: „Jedyna korzyść, jaką wyniosłem z tych obrad, to było utrwalenie się we mnie przekonania, że taka filozofja, jaką się dziś uprawia i jaką się zresztą uprawiało zawsze, może mieć najrozmaitsze wątpliwości, może podnosić ducha, zaspokajać potrzeby serca, dawać zadowolenie estetyczne, ale nie posiada tej najwyższej wartości, którą według mnie mieć powinna, wartości naukowej. I nie mam nadziei, by filozofowie zdobyli się tak prędko na naukowe opracowanie swych zagadnień. Filozofja bowiem od samego początku obciążona była i jest pierwiastkami pozanaukowemi, zwłaszcza natury teologicznej, a pierwiastki te nie wpływają dodatnio na ścisłość myślenia. Stwierdzić można na każdym niemal kroku, że najwięksi nawet myśliciele, od Platona do Kanta i aż po dzień dzisiejszy, rozważając zagadnienia filozoficzne, myślą mętnie, nieściśle, nienaukowo, a nieraz fantastycznie. Dopóki ich dzieła będą dla nas wzorami i dopóki młode umysły kształcić będziemy na „klasykach" filozofji, dopóty zdaniem mojem ani filozofja nie zyska na naukowości,

ani jej adepci nie nauczą się myśleć poprawnie. Sądzę, że jedyną drogą dla przyszłej filozofji naukowej jest *zapomnieć narazie o dotychczasowej filozofji i zacząć całkiem na nowo.* Tak jak logika matematyczna powstała i rozwinęła się po za obrębem filozofji i nie zawdzięcza swych pomysłów logice filozoficznej, tak samo w przyszłości może i powinna powstać nowa filozofja naukowa po za obrębem tego wszystkiego, co dzisiaj nosi miano „filozofji". Bardziej niż kiedykolwiek, potrzeba nam dzisiaj, w tych czasach przełomowych, w których żyjemy, myśli filozoficznej tak jasnej i ścisłej i z taką siłą logiki ugruntowanej, by narzuciła się umysłom ludzkim jak prawda matematyczna. Zjazd filozoficzny w Cambridge wykazał, jak mi się wydaje, że filozofja spółczesna myśli takiej nie potrafi wytworzyć". (Tamże.)

Wątpliwem jest, czy prof. Łukasiewicz potrafi wielu z wybitniejszemi zdolnościami zjednać dla propagowanej przez siebie logiki matematycznej czyli logistyki, natomiast pewniejszą jest rzeczą, że doradzanie, aby zapomnieć o dotychczasowej filozofji i zaczynać całkiem nanowo, może wydać jeszcze bardziej opłakane owoce.

Ofiarą takiej „samodzielności filozoficznej" musiała paść także etyka filozoficzna. Ta etyka głosi wprawdzie naogół zgodnie, że jest nauką o tem, jak człowiek *działać powinien*, ale jednocześnie podkreśla sprzeczną z tem dewizę, że człowiek *istotnie czyni zawsze i bez wyjątku tylko to, co musi a nie to, co powinien.*

Jakże się urabia na uniwersytetach takie „samodzielne przekonanie" co do sprawy w etyce tak z gruntu zasadniczej? W pierwszych latach kapłaństwa łudziłem się myślą, że mam powołanie na katechetę do szkół średnich. Żeby zaś w dziedzinie dogmatyki i etyki skutecznie przeciwdziałać wpływowi na młodzież w gimnazjum ze strony nauczycieli, którzy nieraz nie tyle ze złej woli, ile raczej z „uczonej ignorancji" informują uczniów wprost przeciwnie, niż katecheta, pomyślałem, że najlepiej będzie opanować dokładnie nietylko treść zwykle płytkich zarzutów przeciw prawdom katolickim, ale co ważniejsza, nawet samą ich formę, w jakiej bywają podawane i dla jakiej młodym często imponują. I oto, dlaczego po święceniach kapłańskich słuchałem wykładów filozofji świeckiej i brałem udział w seminaryjnych ćwiczeniach tej filozofji. W zakresie etyki nie mogła mnie naturalnie ominąć „klasyczna" rozprawa Artura Schopenhauera „O wolności ludzkiej woli". Rozprawa ta nadaje się istotnie na to, aby młodzieniec nabrał „samodzielnego", t. zn. przeciwnego, niż dotąd miał, przekonania, co do swej moralnej wolności, bo na „dowód", że determinizm nie jest w sprzeczności z religijnością, przytacza Schopenhauer pokrótce wywody Lutra „de servo arbitrio" — a wiadomo, choćby z tego, co X. redaktor Pechnik nieraz pisze o polskich literatach, że nasi uczeni, jeżeli bodaj odczują potrzebę zajrzenia czasem po informację do teologji, to omal bez wyjątku wybierają teologję protestancką. Otóż przy egzaminie końcowym na piśmie, było także pytanie: „Czy mnie Schopenhauer przekonał?" Napisałem: „nie" — ale przytem miałem wrażenie, że wszyscy inni moi współtowarzysze napisali: „tak" — a to tylko z powodu swej polskiej przeczulonej ambicji, *bo osobliwy styl Schopenhauera wymyśla od „nieoświeconych" i „nieokrzesanych" umysłów tym, którzyby się z nim nie chcieli zgodzić.* (W rozprawie „O podstawie moralności" przekład Z. Basakówny, Warszawa 1901, str. 87: „...teraz już chyba tylko umysły nieoświecone i nieokrzesane mogłyby twierdzić, że istnieje wolność woli w pojedyńczych postępach". W rozprawie zaś O wolności ludzkiej woli, Warszawa 1908, str. 161: „Pytanie, dotyczące wolności woli, jest rzeczywiście probierzem, na którym można odróżnić umysły głęboko myślące od powierzchownych...").

Schopenhauera rozprawa „O wolności ludzkiej woli" jest typowym przykładem zręcznego wmawiania fałszu. Uważa się zaś ją za „klasyczną", bo zbiera naogół wszystko, co już przedtem na ten temat powiedział był jakikolwiek inny determinista i zresztą nawet „dzisiejsze dowody" przeciw wolności moralnej w niczem nie przerastają tej rozprawy. Oryginalność, jako najsłabsza strona Schopenhauera, wyraża się co najwyżej w tem, że tę rozprawę dostosował zupełnie do innych swych dzieł fantastycznych, pisanych w panteistycznym, ale wyłącznie pesymistycznym duchu indyjskiej „filozofji Buddy". Zrozumiałem jest przeto, że kto wyznaje taki deterministyczny monizm świata wogóle, po tym już zgóry spodziewać się można, że na pytanie: Czy można udowodnić wolność ludzkiej woli na podstawie samowiedzy? — odpowie tylko negatywnie. W panteistycznym systemie Schopenhauera „hen kaj pan" („jedno i wszystko" niema nawet szczelinki, gdzieby się dała pomyśleć i zamieścić wolność woli, a wobec tego wszystkie „dowody" przeciwwolnej woli są już tylko naiwną igraszką djalektyczną. Rzućmyż bodaj okiem na ich charakter. Schopenhauer podjął się był odpowiedzi na konkursowe „pytanie norweskiej Akademji Umiejętności w Dronthejm z r. 1839, które brzmiało: „Num liberum hominum arbitrium e sui ipsius conscientia demonstrari potest?"

(C. d. n.) *X. Izydor Richter.*

Nieco o konkurencji parafjalnej.

(Dokończenie.)

Drugi powód, by nie stawiać własnym kosztem budynków parafjalnych, (jeżeli kto może na to się zdobyć), to ten, że u parafjan nie tylko nie ma się za to żadnej wdzięczności ani uznania, ale odnosi się szkodę. Znam dwa takie wypadki. W jednej parafji proboszcz bogaty postawił własnym kosztem piękną plebanję a w parę lat potem musiał się zamienić ze swoim sąsiadem, bo parafjanie tak się mu „odwdzięczali", że wytrzymać nie mógł. W drugiej miejscowości proboszcz stawiał własnym kosztem stajnie, a kiedy mu tego odradzałem, (bo zresztą nie był ów proboszcz zamożny, tylko zapalonym gospodarzem), tak rozumował: „Ja im dam przykład ofiarności; potrzeba mi plebanji nowej; na plebanję mię nie stać; postawię stajnie; a potem

powiem parafjanom ja postawiłem stajnie, to wy teraz postawcie plebanję". Otóż wydał na te stajnie wszystkie swoje oszczędności; dziś od tego czasu upłynęło blisko 20 lat, a nie tylko parafjanie nie postawili mu plebanji, ale mu nawet walącego się komina naprawić nie chcieli; a gdy się rozchorował z powodu złego stanu plebanji i choroba się przewlekała, to chodziły po wsi pomruki: „Mogliby go stąd zabrać, skoro nic nie robi!" Oto wdzięczność naszych parafjan!

Ale jest jeszcze inna i to najważniejsza racja, by nie budować czy restaurować budynków plebańskich własnym kosztem. A jaka? Zły precedens. Znam miejscowość, gdzie pewien proboszcz, nie chcąc prosić komitetu i z nim „się użerać", postawił własnym kosztem spichlerz. Po jego śmierci przyszedł inny proboszcz. Zachodziła potrzeba nowego budynku plebańskiego. I cóż się dzieje? Ani rusz z konkurencją: „Śp. X nieboszczyk postawił własnym kosztem spichlerz, to jegomość może sobie postawić stodołę".

Cóż zatem robić w razie potrzeby restauracji lub nowych budynków? O ile się ma zły komitet i złych parafjan, a czasem nawet i nie złych, to jakkolwiek nie jesteśmy obowiązani do większych naprawek, — o ile chodzi o naprawki, nie wpadające w oczy i nie wymagające większych wkładów, najlepiej je po cichu własnym kosztem wykonać. O ile chodzi o większe wydatki, a konieczne, np. o postawienie czy przestawienie pieców, wprawienie w jednym pokoju podłogi, czy okna, to, by nie drażnić złych ludzi, można żądać uznania komitetu, że to trzeba zrobić i żądać upoważnienia do wykonania tych robót na conto konkurencji z tem, że przy większych robotach tę kwotę się doliczy. Naturalnie kwity z takich robót trzeba zachować, jakoteż wpisaną i podpisaną przez komitet odpowiednią uchwałę. O ile atoli chodzi o większe restauracje, a zwłaszcza o budowę nową, absolutnie nic robić nie własnym kosztem, ale w razie oporu komitetu, żądać komisji rzeczoznawców ze starostwa i iść tą żmudną drogą przymusowej konkurencji. Innej rady niema.

Tu jednak widzimy, jakie szkody materjalne i moralne tak dla kościoła, jak dla probostwa, dla parafjan i proboszcza wynikają z braku w duchu Kościoła obmyślonej i ustawowo załatwionej ustawy o konkurencji kościelnej. Jeśli bowiem idzie się drogą przymusowej konkurencji i wskutek rekursów, trwających latami, sprawa się przewleka, to co z tego wynika? Budynki kościelne i plebańskie niszczeją i co roku stają się mniejzdatne do użytku, wskutek czego materjał, jakiby dał się z nich użyć, gnije czy butwieje, czy się rozsypuje, co powoduje coraz koszta uchwalonej, czy wogóle potrzebnej budowli. Jeśli chodzi np. o stajnie, i stare stają się nie do użytku a nowych się nie stawia z powyższych powodów, inwentarz marnieje, bo albo się na niego z góry leje, albo z boku i pod nogami powstają dziury, wskutek czego przewiewy, a w zimie zimno i bydło dostaje łatwo zapalenia, choroby kopyt czy racic, nieraz przemarznie, nieraz nogi wykręca czy łamie, wogóle niedomaga, marnieje i często pada. Gorzej, gdy np. stajnie stają się wprost niemożliwe do użytku. Co wtedy z inwentarzem zrobić? Jeśli gdzieś jeszcze można tymczasowo przerobić jakąś wozówkę, lub szopę na stajenkę, to jeszcze pół biedy, choć takie dorywcze stajnie nie mogą trwać długo i budynek do tego nie zastosowany, niszczą a nawozu zazwyczaj niema gdzie umieścić, wskutek czego traci wartość Nadto przerobienie takiej ubikacji idzie z kieszeni proboszcza, a nieraz kosztuje kilkaset złotych, które w takim wypadku są poprostu zmarnowane; ale gorzej, gdy niema takiej zastępczej ubikacji. Wypadałoby wtedy gospodarstwo zwinąć, inwentarz sprzedać, bo inaczej wyzdycha, ale tu znów zachodzi szkopuł, że w takim razie utrudni się wogóle na całe lata budowę, bo złe czynniki będą miały wymówkę, że wobec braku inwentarza — stajnie niepotrzebne. Gorzej, gdy się rozchodzi o plebanję lub kościół, gdy te budynki wskutek oporu złych ludzi i powolności Władz czy też względności dla radykałów, czekają całe lata na naprawę, czy budowę; wtedy tak duszpasterz jak wierni są narażeni na wielkie straty moralne i materjalne. Moralne, bo w złej plebanji, w złym budynku kościelnym duszpasterz zapada na zdrowiu, traci ochotę do pracy, energję do walki ze złem i parafjanie też np. w niezdrowym lub dziurawym kościele tracą zdrowie A także kapłan i wierni tracą materjalnie, bo koszta budowy rosną co roku, a tymczasem trzeba wydawać pieniądze na lekarzy, i na naprawki Nie mówię już o tem, jak na tle wydatków na nowy kościół czy plebanję wichrzą i szczują w parafji całe lata radykali miejscowi i zamiejscowi, albo i nawet wtedy wciska się do parafji „kościół narodowy" czy inna herezja.

To też koniecznie trzeba żądać od Sejmu, Senatu, posłów i Rządu, by sprawy konkurencji parafjalnej i komitetu kościelnego były załatwione po myśli Kościoła. Należałoby z naszej strony po parafjach większą w tym kierunku rozwinąć agitację, pouczać o tej sprawie wiernych, zbijać błędne zapatrywania i uchwalać odpowiednie rezolucje i posyłać je na ręce posłów, czy też do Ministerstwa W. i O. Musimy w tej sprawie mieć poparcie większości katolików świeckich, bo nasz rząd liczy się nie tyle z nami, t. j. z Duchowieństwem, ile z opinją publiczną. To też i w gazetach świeckich, kto może, niech tę sprawę porusza, by nią ogół katolicki zainteresować, gdyż inaczej długo jeszcze będziemy czekali na jej załatwienie i męczyli siebie i parafjan w zgniłych budynkach. *Pleban.*

Obrazy religijne.

Jeżeli istnieją powiedzenia pozornie wzniosłe, a nie mające sensu, to do nich należy przed innemi aksjomat: „Sztuka dla sztuki!" Kryje się za tem powiedzeniem niezwykła zarozumiałość i pogarda dla tych, którzy nie tworzą sztuki, a zarazem tendencja t. zw. „zamydlenia oczu" i skneblowania ust — ludziom myślącym.
Sztuka więc religijna nie miałaby racji bytu, gdyby nie odpowiadała tym ideom, tendencjom i uczuciom, jakiemi jest przepełniony duch człowieka religijnego, w chwili religijnego nastroju.

Obraz religijny sprzeczający się z tym nastrojem — jest karykaturą i nonsensem, jak karykaturą i nonsensem byłby dom, wykluczający możliwość mieszkania w nim, choćby na zewnątrz był wspaniały.

Ten duch religijny daje pierwszeństwo obrazowi przed rzeźbą. Subtelna idea duchowości, tendencja fantazji, by ożywić martwy twór ludzkiej ręki — rozbija się o kłodę marmuru, kamienia czy drzewa, któremu formę artystyczną nadaje rzeźbiarz. Obraz nastraja stanowczo lepiej do modlitwy niż statua.

A na tem polega prawdziwy artyzm dzieła sztuki, że wieje z niego tchnienie życia, idei, uczucia wzniosłego, choćby ono nie dało się zupełnie wyraźnie określić słowami, są bowiem nastroje duszy, których nie można wyrazić mową. Jest to jak gdyby ukryty za linjami i barwami duch obrazu, który sprawia, że obraz żyje i przemawia. Matejkowski „Hołd Pruski" — zda się mówić: „Oto potęga, oto chwała!"; „Batory pod Pskowem" tętni życiem myśli zwycięstwa, a z obrazu pogrzebu Henryka Pobożnego wieje tragizm.

Więc duch i artyzm sztuki religijnej wyraża się uczuciami i nastrojami religijnemi, jakie żyją w obrazie. Jeśli obrazowi religijnemu tego jednego brak, może być nawet cennem dziełem sztuki, ale nie sztuki religijnej. A kto chce tworzyć obrazy religijne, musi być sam człowiekiem głęboko religijnym. Sam artyzm tu nie wystarczy, życie bowiem i ducha może stworzyć tylko życie i duch — serce pełne religijnego nastroju. Dlatego mamy tak mało prawdziwie artystycznych obrazów religijnych, chociaż artystów nie brak — i nie brak obrazów noszących religijne tytuły.

Istnieje zasadnicza różnica między obrazem religijnym dekoracyjnym, a obrazem przeznaczonym dla kultu, t. j. obrazem przeznaczonym na to, by człowiek mógł przed nim uklęknąć i wznieść swą duszę do Boga. Obrazy dekoracyjne są przeznaczone dla ścian kościoła i z konieczności muszą zapełniać olbrzymie przestrzenie, jakie musi zapełnić i obraz w ołtarzu — zwłaszcza renesansowym. Te wielkie płótna wymagają scen, a przed obrazem, przedstawiającym jakąś scenę, trudno się modlić, chyba że scena tak jest skonstruowana, że cała się koncentruje w nastroju modlitwy. Dlatego to wielkie obrazy ołtarzy renesansowych są przeważnie dekoracyjne i nie pobudzają do modlitwy.

Ale i tutaj są wyjątki. Oglądałem np. wielki obraz, przeznaczony do wielkiego ołtarza we Wielopolu Skrzyńskiem. Twórcą obrazu jest art. malarz Klimowski z Wiśnicza, którego obrazy znajdują się w kościołach w Wiśniczu, Gdowie i Wielopolu. Obraz wspomniany przedstawia Wniebowzięcie Najśw. Panny Marji i tchnie jakiemś serdecznem odczuciem Jej chwały niebiańskiej. Kompozycja oryginalna — a w artystycznej formie przeważa styl klasyczny, dorównujący wielkim mistrzom. Obraz jest wielkich rozmiarów, przedstawia scenę, a jednak nastraja do modlitwy.

Na ogół jednak więcej przemawiają do duszy obrazy mniejszych rozmiarów, przedstawiające nie scenę, ale osobę, albo nawet tylko popiersie, bo wtedy fantazji łatwiej ożywić obraz i za subtelną, a przeźroczystą zasłoną materjalną, jaką są barwy i linje, przedstawiające niematerjalnie postać — widzieć właśnie tę świętą osobę, do której wznosimy duszę w modlitwie. Jest rzeczą zastanawiającą, jak wyjątkowo otoczone są szczególnym kultem rzeźby, oraz obrazy wielkich rozmiarów.

Jeżeli chodzi zwłaszcza o obrazy przeznaczone dla celów kultu, to właśnie względy religijne przemawiają za zastosowaniem do tych obrazów techniki stylu klasycznego. Prawda, że obraz nie może być fotografją, oddającą najdokładniej wszystkie szczególiki, ale jak się modlić przed statuą, która jest misternie i artystycznie tu i ówdzie zaciosaną kłodą drzewa? Uproszczenia, jakiemi operuje sztuka nowoczesna, szukająca dróg nowych i nowego stylu, mogą być bardzo zajmujące i misterne, mogą nawet osiągnąć pewne efekty na dalszą odległość, np. w dekoracjach teatralnych, ale do ołtarza się nie nadają. Tu patrzymy na obraz zbliska — owszem pod wpływem uczucia religijnego — cała uwaga, cały duch skupiony jest na obrazie, a wtedy muszą razić przejaskrawione kolory, kanciaste płaszczyzny, ostre linje, niezharmonizowane plamy kolorowe, jakiemi operuje nowa sztuka. Takie rzeczy mogą być ładną dekoracją salonu, mogą nawet bardziej odpowiadać nowoczesnemu duchowi, ale do kościoła się nie nadają. Tam — w kościele szuka duch ludzki tego, co jest nieprzemijające i wieczne, co jest skończonem pięknem, harmonją w całej pełni, a nie w uproszczeniu i skrócie. Nie chodzi o potępienie powstającego nowego stylu, któremu nie można odmówić charakteru piękna; wspomniane zastrzeżenia odnoszą się jedynie do obrazów religijnych, a przedewszystkiem do obrazów przeznaczonych dla celów kultu.

Z tego też względu obowiązuje malarstwo religijne poszanowanie dla pewnych tradycyj. Istnieją zasady ikonografji chrześcijańskiej, których malarzowi religijnemu ignorować nie wolno. W sprawach religijnych ma tradycja swoje głęboko uzasadnione prawo. Wiara i wynikające z niej zasady, prawdy, ideały i uczucia, oparte są na słowach Bożych, które jedne nie przeminą, chociaż przeminie wszystko inne. „Veritas Domini manet in aeternum". Wiara jest prawdą wieczną, która się zmienić nie może, przeto duch ludzki przyjmuje tak niechętnie wszelkie zmiany w dziedzinie religijnej i tak uparcie trwa przy tem, co przekazała przeszłość.

Sprawienie nowego obrazu do ołtarza nie jest rzeczą bagatelną, bo obraz jest rzeczą ważniejszą niż dekoracyjne części ołtarza, które są właściwie nie czem innem, jeno obramowaniem obrazu. Wchodzą tu w grę ważniejsze momenty, niż troska o upiększenie kościoła. Obrazy w kościele, jeśli są piękne i naprawdę religijne, wytwarzają religijny nastrój, wywołują pobożne uczucia, pociągają do modlitwy, są milczącym, a jednak wymownym kaznodzieją, gdyż wrażenia wzrokowe sięgają częstokroć głębiej w duszę, niż słuchowe. Przeto dla zdobycia dobrego obrazu religijnego — warto poświęcić czas i koszta. Najskromniejszą racją (ale i o tej można wspomnieć) troski o piękno i artyzm obrazów

religijnych, jest wzgląd na uczucia estetyczne wiernych, dla których przeważnie jedyną szkołą wychowania w tym względzie — jest kościół Ale jest to racja najskromniejsza, dlatego lepszy jest w kościele nieudolny może pod względem technicznym utwór tchnący pobożnością i uczuciem religijnem (bo wyrażenie tego żywego uczucia jest właśnie artyzmem), aniżeli obraz doskonały technicznie, ale nie mający w sobie nic z ducha religijnego. To nie może odnosić się do obrazów starych, bo jeśli chodzi o nowe, to mamy możność postarać się o dzieła pod każdym względem doskonałe.

Są firmy, które sprowadzają na zamówienia obrazy z zagranicy, z Włoch lub Niemiec. Są to produkowane na dużą skalę wyroby rzemieślnicze, bez artystycznej wartości. A przecie za podobną cenę można zamówić obraz u artysty w kraju Dobrze jest przypatrzeć się przedtem— jak wyglądają danego malarza obrazy, a jeśliby był kłopot z ceną, można się i potargować (nie jest to ujma, kiedy chodzi o obce pieniądze, zwłaszcza składki ludzi ubogich), można ułożyć spłatę ratami. Można też (a nawet należy) żądać szkicu obrazu, można postawić pewne żądania, czy zastrzeżenia co do treści i sposobu wykonania obrazu Rozsądny malarz nie będzie lekceważył uwag z dziedziny religijnej, w której właściwym „fachowcem" jest ksiądz, chociażby na samej sztuce nie wiele się rozumiał.

X. dr. Juljan Piskorz.

Z Polski do Nowego Jorku.

(Wspomnienia księdza amerykańskiego — wrzesień 1929).

Paryż. — Lisieux. — Eherbourg. — Polskie szczęście. — Olympie. — Biskup szwajcarski. — Msza św. — Wspomnienia z przed 20 lat. — Misjonarz z Indji. — Niedziela. „Msza" anglikańska. — Golf stream. — Radiotelegram. — Bufet. — Lądowanie. Przywitanie.

Wracałem z wakacyj w Polsce. Po odbyciu kuracji w Truskawcu, po kilkudniowym pobycie w Krakowie i gościnie u przyjaciół, zdążałem do Cherbourga via Paryż. W Paryżu nie zatrzymywałem się długo. Vae homini soli, nawet w Paryżu. Moje zwiedzanie Paryża ograniczyło się do przechadzek po Champs Elysees, Jardin de Tuillieries i do kościoła św. Magdaleny Po drodze do Cherbourga wstąpiłem do Lisieux. Przyjechałem pod wieczór i hotel, który mi wskazano, był już zapełniony z powodu jakiejś pielgrzymki. Ale uprzejmy hotelier zaprowadził mnie do swojego prywatnego mieszkania, gdzie dostałem bardzo przyjemny i schludny pokoik.

Nazajutrz rano udałem się do kościoła Karmelitanek, który był przepełniony pielgrzymami tak, że Mszy św. wysłuchałem, stojąc na dworze, aż dopiero, gdy się ciżba przerzedziła, można się było przedostać do kaplicy, gdzie są relikwje św. Teresy Po południu przybyłem do Cherbourga i tu wpadłem w ręce... żydowskie Takie to już nasze polskie szczęście! Obskoczyły mię jakieś dwa indywidua, które się zajęły moim bagażem i zaprowadziły mię do auta. Myślałem, że to są ajenci kompanji okrętowej i dziwiłem się tej uprzejmości, aż się pokazało, że to byli funkcjonarjusze oberży żydowskiej! Jeden z nich mówił wcale poprawnie po polsku i twierdził, że służył w legjonach i w wojsku Hallera. Nie bardzo wierzyłem, ale nie chciałem się gwałtem wyrywać i robiłem „bonne mine au mauvais jeu". Hotelik był dość obskurny, a jedzenie — także dalekie od paryskiego, a cóż dopiero mówić od polskiego. Wyszedłem zwiedzać Cherbourg, nie mając jednak wiele czasu, zaszedłem tylko na plac Napoleona, gdzie jest jego wspaniały posąg. Stoi zwrócony w stronę Anglji i zdaje się jej wygrażać... (niestety!). Noc miałem fatalną nietylko z powodu atmosfery żydowskiej, ale i z powodu moskitów. Odpędzałem je dymem papierosów a kilka uśmierciłem do wtóru z lekturą „Polowanie na grubego zwierza na rubieżach Indji" No, ja polowałem tylko na małego zwierza, a na szczęście innej małej zwierzyny oprócz komarów na rubieżach Francji nie było. Nazajutrz nie dałem się już więcej tyranizować mojemu „legjoniście" i poszedłem jeść do hotelu anglo-amerykańskiego, gdzie się znalazłem w otoczeniu aryjczyków i byłem obsłużony przyzwoicie.

Po południu mały okręcik przewiózł nas do wspaniałego „Olympic'a", który czekał na pełnem morzu. Na okręcie miła niespodzianka. Jedzie z nami biskup szwajcarski[1]). Jego sekretarz bardzo uprzejmy i rozmowny Szwajcar, zapoznał mię zaraz z Jego Ekscelencją i zarazem powiedział mi przyczynę, dla której X. Biskup trudzi się do Ameryki. Oto jeszcze w czasie wojny zrujnował on się na dzieła dobroczynne, przyjmując uchodźców z różnych krajów, między innemi i z Galicji, chrześcijan i żydow i opiekował się tem biedactwem z prawdziwem poświęceniem. Teraz jedzie do Ameryki — nie na kolektę, tylko aby spieniężyć niektóre cenne obrazy (z aprobatą Stolicy Ap.) i podreperować finanse swojej diecezji[2]). Biskup, postać czcigodna i okazała, nie jest sztywny ani wyniosły. Lubi facecje. Zaraz przy powitaniu uraczył nas facecyjką na temat błędnej wymowy Niemców, gdy chcą mówić np. po angielsku. Jeden z nich chciał powiedzieć w hotelu, że jest spragniony i jego żona także, ale źle wymówił po angielsku i z tego wynikło, że jest brudny, i jego żona także („dirty" zamiast „thirsty") i zdziwił się, gdy zamiast upragnionego piwa przyniesiono mu wody i mydła.

Siedzimy przy jednym stole w jadalni. Oprócz biskupa i sekretarza jest jeszcze z nami brodaty misjonarz z Indji, Francuz, który jedzie do Kanady, jest także jeden Włoch, salezjanin, a obok przy drugim stole siedzą dwie siostrzyczki zakonne, narodowości węgierskiej. Mówimy sobie z księżmi: „Laudate Dominum omnes gentes, laudate Eum omnes populi!" — Oto nasz Kościół jest prawdziwie katolicki

Odprawiamy Msze św. w czytelni, gdzie jest ołtarzyk i posługujemy sobie wzajemnie. Kilka osób przystępuje codziennie do Komunji św. Między innemi są i polskie kobiety z „tourist class" Jest i jeden Anglik, konwertyta, młody i piękny mężczyzna, przystępuje codziennie do

[1]) Mgr. G. von Grüneck Schmid z diec. chur.
[2]) P. wyżej.

Komunji św. i służy chętnie do Mszy w razie potrzeby. Cudowny typ szczerze nawróconego Anglika, który bierze religję i jej obowiązki poważnie i spełnia je konsekwentnie. Jest profesorem w jakimś zakładzie katolickim w stanie Connecticut.

Któregoś dnia podróży było morze dość rozhuśtane, a skutki tej huśtawki były widoczne po pustkach w salonie jadalnym. Przy naszym stole tylko ja, i X. Biskup dotrzymujemy placu. X. Biskup opowiada, że 20 lat temu był w Stanach Zj. Wtedy jeszcze był silny ruch emigracyjny i na okręcie było dużo emigrantów z Polski. W niedzielę nie było Mszy św., bo na okręcie nie było ołtarza*), ale emigranci polscy wyszli na pokład i poklękali z książeczkami do modlenia — mężczyźni z jednej strony — kobiety z drugiej — i śpiewali pieśni kościelne. Te melodje polskich pieśni tak mu się podobały, że sobie je zanotował (jest znawcą muzyki i przez kilkanaście lat był dyrektorem diecezjalnym śpiewu kościelnego) i dotychczas po 20 latach je pamięta, a także pobożne i pełne skupienia zachowanie się ludu zrobiło na nim głębokie wrażenie.

Nazajutrz morze się uspokoiło i wszystko, co żyło, wyroiło się na pokład. Wyszedł także z kajuty misjonarz indyjski, trochę zmizerowany, ale zresztą zdrów. Zasiadamy przy stole i misjonarz zaczyna opowiadać różne „ciekawości" o Indjach. Duchowni anglikańscy nie robią trudności misjonarzom katolickim i wogóle prawie wcale się nie trudnią nawracaniem krajowców. Są oni tam raczej dla Anglików, którzy przebywają w Indjach. Utrzymują chętnie stosunki towarzyskie z misjonarzami katolickimi. „Kolega" anglikański wyraził się raz do naszego misjonarza: „Żeby mię tylko dochodziła regularnie moja pensja rządowa, to ja o więcej nie dbam. Ty możesz sobie ochrzcić wszystkich Hindusów". Ale dużo trudności mają nasi misjonarze ze strony innych sekciarzy protestanckich, metodystów, babtystów, adwentystów i t. p., a nadto ze strony nieszczęsnego ustroju kastowego, który nie pozwala członkom wyższej kasty stykać się z parjasami, ba, nawet z tymi, którzy z parjasami obcują.

W opowiadaniach misjonarza przesuwają się nam przed oczyma malownicze obrazy dżungli, ale i niebezpieczeństwa dżungli, od tygrysów, niedźwiedzi, panter, węży (cobra) i pytonów. A na zapytanie, czy widział „cuda" fakirów, misjonarz macha ręką i twierdzi, że te cuda istnieją tylko w imaginacji ludności. Przez 30 lat był w Indjach i nie widział nic z tego, co się czasem czyta o fakirach po książkach, a wszystkie te cudowności są tylko sztuczkami kuglarskiemi.

Porządek nabożeństwa niedzielnego był w sobotę zapowiedziany na tablicach ogłoszeniowych w każdej klasie przy wejściu do jadalni. X. Biskup celebrował o 9-tej. Serce rosło na widok całej czytelni zapełnionej katolikami. Tu niema kastowości indyjskiej i podróżni z wszystkich klas spotykają się na nabożeństwie i zachowują się z budującą pobożnością.

Było także nabożeństwo anglikańskie o g. 8-ej, które oni zowią „Holy Communion", bo unikają nazwy Mszy. Ale można było rozróżnić wszystkie części naszej Mszy. Była ewangelja, ofiarowanie, prefacja, podniesienie, Pater noster, Komunja. Wszystko w języku angielskm. Minister był ubrany jak ksiądz katolicki, tylko z pewnem zabarwieniem archaicznem. Ornat na nim w stylu gotyckim. Ceremonje odprawiał bardzo poważnie i dokładnie. Były znaki krzyża i przyklękanie: „tout comme chez nous". Aż było przykro pomyśleć, że to tylko ceremonje bez treści, boć anglikanie nie mają ważnych święceń. Przystępowało także kilka osób do Komunji anglikańskiej. Minister składał im cząsteczki na dłoniach, a oni sami je spożywali, potem dawał im popić z kielicha. Czekałem, aż dopóki celebrans się rozebrał ze szat duchownych i doprawdy śmiech brał, gdy z alby i ornatu wyskoczył facet zupełnie po świecku ubrany, w szarym kostjumie, w pantalonach, które u nas zowią „knickerboker", słowem wyglądał tak, że p. Zagłoba nazwałby go z abominacją „pończosznikiem". Ten pończosznik nie zadał sobie tyle trudu, żeby się po swojej „mszy" pomodlić, ale z ubiorem złożył ze siebie namaszczenie duchowne i zniknął w szarym tłumie profanów.

Po gorącu tropikalnem poznaliśmy, że już jesteśmy na Golf stream. Czysta łaźnia — trapiła nas więcej niż dobę. Ale mijamy Golf stream i jesteśmy już tylko 1 i pół doby od lądu. Tu mię spotkała bardzo miła niespodzianka. Dostałem od konfratrów z Ameryki telegram bezdrutowy, w którym mię mile witają i żałują, że z powodu rekolekcyj nie mogą mię oczekiwać w przystani. Cudowny wynalazku! Jeszcze dokoła ocean bezbrzeżny, a tu iskra przynosi serdeczne słowo od przyjaciół!

Jeszcze kilkanaście godzin żeglugi. Widać na okręcie krętaninę, podróżni zbierają manatki. Podpisujemy deklaracje dla celników, załatwiamy formalności paszportowe. Ale i bufet niezwykle ożywiony. Amerykanie korzystają z ostatnich godzin swobody i raczą się piwem lub innym nektarem, bo 12 mil od brzegu już się skończy ta swoboda. Potem będzie można pić legalnie tylko sodę na różny kolor zabarwioną i surogat piwa, który Amerykanie nazywają „near bear" (zbliżone do piwa), ale złośliwi nazywają to „far beer" (daleko do piwa). O duchu p. Zagłoby cobyś powiedział, gdyby cię doszła wiadomość, że jest na świecie kraj wolny, którego obywatele są zmuszeni pić różne dekokty — na podobieństwo soku brzezinowego — niegodne istot rozumnych! Myślę, że p. Zagłoba nie omieszkałby „prorokować", że już bliski koniec świata, skoro ludzkość tak nisko upadła.

Zbliżamy się do portu. Lądujemy. „Olympic" spisał się dzielnie i odbył podróż w 5 dniach i kilkunastu godzinach.

W przystani oczekuje mię delegacja z parafji, jest i X. wikary. Z ich min tajemniczych miarkuję, że się coś święci. Ale rzeczywistość przeszła moje oczekiwanie. Gdyśmy przybyli do celu podróży (2 godziny od N. Jorku), zdawało się, że połowa miasta jest zmobilizowana. Co za owacja! Wyszły dzieci szkolne i harcerze i towarzystwa kościelne. Muzyka gra, skauci trąbią (z większą ochotą, niż wprawą) — a od śródmieścia począwszy, obie strony ulic zapchane tłuma-

*) Teraz już prawie wszystkie kompanje mają ołtarze na okrętach.

mi ludności. Ruch uliczny wstrzymany, policja konna utrzymuje porządek. Są swoi i obcy, a to wszystko mię wita przyjaznym uśmiechem, powiewaniem chustek, okrzykami, oklaskami. W ten sposób dojeżdżamy do kościoła, gdzie się odbyło błogosławieństwo Najśw. Sakramentem (za pozwoleniem biskupiem, o które się X. wikary postarał) na podziękowanie P. Bogu za szczęśliwą podróż. A potem jeszcze wieczorek powitalny, urządzony przez dzieci szkolne pod kierownictwem Sióstr.

Mimo tak serdecznego przyjęcia przez kilka dni byłem nieswój, bo do głowy cisnęła się utrapiona myśl: Hej, miła Polsko, czy Cię jeszcze kiedy zobaczę! *X. F. C.*

Zawiedzione nadzieje syjonistów.

„Biała księga", publikowana przez rząd angielski 21 paźdz. r. b. w sprawie Palestyny, wywołała największe oburzenie wśród syjonistów. 27 paźdz. odbył się w Londynie wiec protestacyjny przy udziale około 4 tysięcy osób pod przewodnictwem prezesa egzekutywy syjonistycznej Weizmana. Prezydent „Jewish Agency" Sokołów mówił o międzynarodowem znaczeniu deklaracji Balfoura (która żydom oddawała Palestynę) i oświadczył, że protest nie jest skierowany przeciw Wielkiej Brytanji, tylko przeciw jej rządowi obecnemu, który usiłuje nadać odmienne znaczenie owemu dokumentowi historycznemu. Po nim powiedział Weizman, że deklaracja Balfoura jest obowiązaniem wobec żydów całego świata i dodał, że ministerjum Labour Party będzie odpowiedzialne, jeżeli w Palestynie znowu poleje się krew.

Wkońcu przyjęto jednogłośnie odpowiednią rezolucję, która jednak zapewne nie odniesie skutku pożądanego, bo już Anglicy sami musieli dojść do przekonania, że deklaracja Balfoura wielkim była błędem.

Marzenie bowiem syjonistów o stworzeniu własnego państwa w Palestynie było nieziszczalne wobec tego, że większa część jej mieszkańców jest narodowości arabskiej, która nie myśli żydom ustąpić, a zamało jest stosunkowo ziemi, na której mogą osiedlać się przybysze żydzi. Z 86 980 rodzin arabskich, żyjących po wsiach, 29,4 proc. nie ma wcale ziemi i cierpi dotkliwy niedostatek. Immigracja zaś żydowska uniemożliwia im znalezienie zarobku, wystarczającego na ich utrzymanie, a także wśród żydów jest wielu bezrobotnych. Dlatego władze angielskie są zniewolone do wstrzymania dalszej immigracji do Palestyny. Zapewniają one, że będą nadal spełniały swój obowiązek wobec wszystkich mieszkańców kraju, dla których dobra ustanowią „radę prawodawczą". Żydzi więc będą na równi z wszystkimi innymi krajowcami doznawali opieki władz, ale nie będą mieli żadnych przywilejów, nie będą gospodarzami w Palestynie, nie będą tam posiadali swego „ogniska narodowego".

Sądzimy, że ten zwrot bardzo ważny w polityce angielskiej w stosunku do syjonistów sprowadzi następstwa dobre. Upokarza on pychę żydów i uświadamia im wyraźnie, że pomimo ogromnych bogactw, jakie posiadają i pomimo wpływów, które z ich pomocą zdobyli, nie mogą nigdzie posiąść własnego państwa i muszą żyć nadal rozproszeni w krajach, gdzie znaleźli przytułek, możność zarobku i zaspokajania swojej chciwości. Można więc żywić nadzieję, że to nakłoni pewną ich część do poważnego zastanowienia się nad sprawą religji i że niejednego przywiedzie łaska Boża do poznania prawdy. Nie potrzebujemy zresztą dodawać, że nasze społeczeństwo katolickie powinno w obcowaniu z żydami z jednej strony zaznaczać wyraźnie, iż tylko w naszej religji mogą znaleźć prawdę, — ale zarazem z drugiej strony okazywać im szczerą życzliwość i starać się o ich pozyskanie dla Chrystusa. Liczne przykłady wychrztów, którzy nie nawrócili się szczerze i nie żyli po katolicku, nie powinny nas zrażać, ale raczej powinniśmy mieć przed oczyma żywoty i działalność ludzi zacnych, albo nawet świątobliwych, którzy przyjęli chrzest z przekonania i dużo zrobili dla chwały Bożej i dla dobra bliźnich (sami znaliśmy takich, — a innych nazwiska zapisane są chlubnie w literaturze katolickiej). *X. A. P.*

Przesiedlenie emeryta.

Emerytowi państwowemu należą się koszta przesiedlenia na podst. art. 21 ustawy emer. z 11 grudnia 1923. (Dz U K. P., nr. 6—24).

Należy jednak koszta udowodnić kwitami, które przedłożyć trzeba do potwierdzenia w urzędzie gminnym, względnie magistracie. Magistrat stwierdza, że koszta odpowiadają istotnie cenom miejscowym.

Koszta przesiedlenia zwraca emerytom Izba Skarbowa (u nas, lwowska), ale podanie należy wnieść przez władzę swej dykasterji, a więc np. XX. Prefekci: przez Kuratorjum O. S.

Do kosztów wliczyć należy dietę.

Do podania trzeba dołączyć *zaświadczenie starostwa* o przesiedleniu i zameldowaniu w nowem miejscu pobytu.

Mementote P. T. Confratres!

X. H. Weryński.

Sprawy religijne.

Polska wyprawa misyjna do Chin. Dnia 4-go listopada r. ub. z Krakowa ze zgromadzenia XX. Misjonarzy wyruszyli księża Ignacy Krauze i Antoni Górski, klerycy Franciszek Stawarski, Wacław Czapla, Stanisław Kotliński, oraz brat Stanisław Fedzin przez Marsylję do Szanghaju. W Szengtingfu stanęli 12 stycznia r. b. Z wikarjatu Szentingfu kongregacja Propaganda Fide wydzieliła dla polskich misjonarzy dystrykt Szuntegfu.

Oczywiście wpierw należało się zżyć z warunkami miejscowemi i zapoznać się dokładnie z językiem chińskim. To się stało. Już 3-go sierpnia misjonarze głosili kazania chińskie. Klerycy polscy kończą swoje studja w środowisku chińskiem i w przyszłym roku otrzymają święcenia w seminarjum Kashing.

Obecny wikarjat apostolski Szentingfu, na którego czele stoi biskup Franciszek Schraven, jako wikarjusz apostolski, zarządzany jest od roku 1856 przez zgromadzenie XX. Misjonarzy św. Wincentego. Na terenie olbrzymiego wikarjatu jest 5 miljonów pogan (58.862 katolików) 61 księży, (22 obcokrajowców, 39 Chińczyków) 55 braci, 163 sióstr zakonnych, 13 kleryków chińskich w seminarjum, 179 szkół, 4264 uczniów.

Obecnie odbywa się rozgraniczenie dystryktu Szuntengfu dla polskich misjonarzy, a instytucje misyjne, które znajdą się w obrębie dystryktu, przejdą pod ich zarząd.

Z Chin. Stałość wójta katolika w walce z zabobonem. W Kitsuon (Szansi) panowała w roku bieżącym przez dłuższy czas posucha, zagrażająca płodom rolnym zniszczeniem, które byłoby wywołało także

prześladowanie katolików w tym okręgu. Jest tam niewiele dotąd rodzin chrześcijańskich, ale wójt jest katolikiem gorliwym, rozumnym i tak poważanym przez miejscowych pogan, że od wielu lat wybierają go corocznie na nowo. Otóż ci udawali się w czasie posuchy kilkakrotnie do niego z żądaniem, żeby zarządził praktyki zabobonne dla uzyskania deszczu, które u nich są w użyciu.

Na prośby te odpowiadał im zawsze: „Jestem chrześcijaninem i dlatego nie mogę uczestniczyć w waszych obrzędach; — i my chrześcijanie modlimy się do nieba o deszcz obfity i razem z naszym Ojcem misjonarzem polecamy się Bogu. Więcej nie mogę zrobić. Módlcie się dalej w swojej pagodzie do swego Lao-tjen-ve („Starzec niebieski") a my będziemy dalej polecać się Bogu"! Ale te mądre racje nie przemawiały wcale do Chińczyków w najwyższym stopniu przesądnych: przeciwnie zdawały się ich gniewać i podsuwać im przekonanie, że deszczu nie będzie z winy chrześcijan odpowiedzialnych za niewykonywanie odwiecznych obrzędów zabobonnych. Wnosili skargi do podprefekta, grozili, demonstrowali, — ale wójt pozostał niewzruszony. Tylko błagano jeszcze goręcej w kościele katolickim o zmiłowanie Boże. Rozdrażnienie pogan wzmogło się już do paroksyzmu i przewidywano napady prześladowcze, kiedy doczekano się przecież upragnionego deszczu, który padał przez trzy dni bez przerwy i dał nadzieję obfitego żniwa, — ku wielkiej radości i chrześcijan i pogan. (Oss. Rom.).

Z Azji Mniejszej dochodzi wiadomość pocieszająca, że fanatyzm rządu tureckiego w Angorze, który nienawidzi wszelkiej idei religijnej, zaczyna słabnąć. Dlatego misjonarze w Koniah (Ikonium), którzy pomimo długoletnich udręczeń mogli utrzymać się w swoim małym klasztorze, ogołoconym z wszelkiej posiadłości, rozpoczynają odwiedzać nielicznych chrześcijan swej olbrzymiej parafji i gromadzić chrześcijan wschodnich, którzy potracili swoich pasterzy. Jest to praca żmudna i niebezpieczna, ale daje najpiękniejsze świadectwo odwadze i wytrwałości naszych misjonarzy.

Syryjska misja kapucynów w Bejrucie utworzyła nową stację w Deir-ez-zor nad Eufratem. Deir-ez-zor jest punktem, w którym przecinają się główne gościńce z Damaszku, Palmiry i Aleppo do Mossulu, ma więc wielkie znaczenie. Żyje tam 700—800 chrześcijan, po części katolików, syryjczyków, ormian, chadejczyków, a po części schizmatyków greckich i ormian gregorjańskich. Dość znaczna jest liczba nawróceń wśród schizmatyków obrządku grecko-melchickiego w Tripoli (Syrja) i Homs, jakoteż wśród chrześcijan obrządku syryjskiego i ormian-nieunitów.

Z Indji. Konferencja wszechindyjska w sprawie klas uciśnionych, która ku końcowi kwietnia r. b. obradowała w Madras, wspominała kilkakrotnie z wielką czcią o misji katolickiej, a szczególnie o działalności katolickich zakonów kontemplatywnych. Jeden z wybitnych mowców przypomniał, co Francja zawdzięcza kartuzom, benedyktynom, cystersom, którzy „wytrzebili w niej lasy, wysuszyli moczary i przemienili je w ziemię urodzajną i cały kraj uczynili prawdziwym ogrodem. Powinnibyśmy prosić naszych braci chrześcijan, żeby wprowadzili zgromadzenia te do Indji. Trzebaby im dać ziemię w każdej prowincji, gdzie są klasy niższe. One zbudują szkoły rolnicze i fermy, dadzą nam pola, na których będzie można osiadlać klasy uciśnione. Jeżeli te klasy mają dziś jakieś wykształcenie, zawdzięczamy to głównie, jeżeli nie wyłącznie europejskim zakładom wychowawczym. W ich bowiem szkołach nie ma żadnego wpływu sprawa dotykalności i niedotykalności". (Według pojęć indyjskich niewolno członkom kast wyższych nawet dotykać się parjasów).

Tę samą myśl wyraził prezes tej konferencji Ramchadraa Sutwajec Nekaljay w swoim liście, wysłanym do „Osservatore Romano", w którym boleje nad losem 70 miljonów parjasów, traktowanych przez kasty wyższe hindusów gorzej od zwierząt.

Z piśmiennictwa.

Tomasz Mann. Czarodziejska góra. Powieść. Przełożył Juljusz Feldhorn. Cztery tomy. Warszawa 1930 (Tow. wydawn. „Rój").

O autorze tym, bardzo dziś chwalonym i odznaczonym nagrodą Nobla, pisaliśmy już w Gaz. Kość. (p. Nr. 10 z r. b.), oceniając trzy jego utwory („Tonio Kröger", „Der Tod in Venedig" i „Jego Królewska Wysokość"). Przyznaliśmy im zalety wybitne, ale musieliśmy im także wytknąć pewne wady i usterki: rozwlekłość, mnóstwo szczegółów drobiazgowych itd. Nie znaliśmy jeszcze wtedy jego „Czarodziejskiej góry" („Der Zauberberg"), która ma być — według zdania wielu recenzentów — najlepszym jego dziełem. Dopiero niedawno otrzymaliśmy ją do przeczytania. Możemy więc i o niej coś powiedzieć. Ale niestety musimy stwierdzić, że ją przeceniono nadmiernie.

Osnowę jej stanowią przeżycia wielu stosunkowo chorych, przebywających w sanatorjum, położonem wysoko, a między nimi młodego Niemca z Hamburga, który tam leczy się przez siedem lat i zapoznaje się z szeregiem innych gości z różnych krajów. Autor opowiada rozwlekle i w sposób nużący czytelnika o ich trybie życia, o ich werandowaniu, ubiorach, posiłkach codziennych, o bankietach, które sobie urządzają od czasu do czasu, o ich dysputach, w których wypowiadają mnóstwo niedorzeczności. Jest on widocznie uprzedzony do Kościoła katol., o którym np. takie zdanie wypowiada (przez nikogo niesprostowane)) jedna z jego osób: „Wrodzoną tendencję i nieodmienny cel tegoż stanowi rozsadzenie istniejącego porządku rzeczy i ukształtowanie go na nowo, według wzorów idealnego komunistycznego państwa Bożego" (t. IV, str. 76 przekładu). Por. bałamutną gadaninę na str. 92—95 i 234 tomu III. Niektóre tylko epizody budzą chwilowo większe zajęcie, ale w dalszym ciągu i one gotują zawód. Trzeba też mieć dużo czasu i cierpliwości, żeby całe to dzieło przeczytać.

Wogóle więc sądzimy, że przyznanie autorowi nagrody Nobla nie było uzasadnione [1]. *X. A. P.*

Dr. Edward Sawicki, Psychofizjologja. Tom I. Wstęp krytyczny. Tarnów 1930. (Stron 132 w 8-ce. Nakładem P. Pustelnika. Do nabycia w klasztorze OO.

[1]) Z niemałem zdziwieniem przeczytaliśmy ocenę tej książki, zamieszczoną w warszawskim „Przeglądzie Katolickim" z 28 września r. b. (str. 589 n.). Pisze tam recenzent (który — nie wiemy dlaczego nie podpisał swego nazwiska), że „twórczość Manna i jego szczytne (?) dzieło „Czarodziejska góra" zasługuje na rozpatrzenie nietylko z formalnego obowiązku informacyjnego. „Czarodziejska góra" jest literackiem zwierciadłem wklęsłem, w którem autor starał się zsyntetyzować wszystkie zagadnienia współczesnej kultury.. jest, jak przenikliwie (?) zauważył jeden z krytyków, wyrazem dążenia współczesnej elity (?) do nieśmiertelności, w sferę transcedentalną (?)... Jakkolwiek można i trzeba w niejednem nie zgodzić się z autorem, nie można jednak zlekceważyć jego wielkiego wysiłku rekonstrukcji współczesnej nam rzeczywistości kulturalnej" i t. d.

Ogólniki te nie dają żadnego wyobrażenia o treści i wartości „szczytnego dzieła".

Bernardynów w Tarnowie. Cena egz. brosz. z przesyłką pocztową 4.50 zł.).

Autor tego dzieła (ur. 1833, zm. 1924), doktor medycyny i prymarjusz szpitala powszechnego we Lwowie, zajmował się przez całe życie z amatorstwa filozofją. Owocem tych studjów jest (jak pisze wydawca) obszerny rękopis, przygotowany do druku p. n. „Psychofizjologja dążeń, pasyj i afektów człowieka". Całość obejmuje przypuszczalnie trzy tomy drukowane. Dotąd wydano tylko ten „Wstęp krytyczny", w którym jest najpierw mowa o „materjałach do umiejętności o naturze duszy człowieka", potem o umiejętności wogóle, o jej „pierwiastkach rodzimych", o jej zadaniu, metodzie i przedmiotach, o ciele, o duszy i o inteligencji człowieka, o „rozwoju osoby myślącej", o pamięci i woli, o „dążeniu filozafji klasycznej do umiejętności o naturze człowieka", o nauce Platona, Aristotelesa i innych filozofów aż do niektórych najnowszych. Autor stoi zasadniczo na stanowisku filozofji scholastycznej i włożył dużo dobrej osnowy w swoje dzieło, ale wysłowienie jego jest przeważnie ciężkie i zrozumiałe tylko (— i to nie wszędzie —) dla znawców filozofji. Jako próbkę przytaczamy tu ze str. 93 jeden ustęp:

„Egzystencja absolutnie prawdziwa i aktualna nie jest przedmiotem badania zapomocą metody analitycznej instruktywnej i zapomocą metody eksperymentalnej weryfikacyjnej tak samo jak dobro absolutnie etyczne i piękno absolutnie poetyczne nie może być ani uczynione ani oglądane. Przeto pojemność rozumu dla egzystencji absolutnie prawdziwej i aktualnej i pojemność inteligencji absolutnie aktywnej dla dobra absolutnie etycznego i dla piękna absolutnie poetycznego jest wprawdzie miarą do osądzenia stopnia egzystencji relatywnie prawdziwej i aktualnej i do urządzenia stopnia dobra relatywnie etycznego i piękna relatywnie poetycznego, ale sama pojemność tej miary nie może być wypełniona" i t. d. *X. P.*

Possidius — Biskup Kalamy. **Żywot św. Augustyna.** Z łaciny przetłumaczył, wstęp i objaśnienia napisał *Jan Ujda*. Poznań 1930. (Stron XXIII i 63 w 8-ce. Jan Jachowski, księgarnia uniwersytecka. Cena 3 zł.).

Nie mieliśmy dotąd polskiego przekładu żywota św. Augustyna, napisanego przez jego ucznia i przyjaciela Possidiusa. A jest to dzieło wprawdzie niewielkiej objętości, ale bardzo cenne, bo autor pisze tylko o faktach, których sam był świadkiem, nie upiększając ich i nic do nich nie dodając z innych źródeł. Przekładu dokonał bardzo starannie i umiejętnie prof. gimn. w Poznaniu, p. Ujda i zaopatrzył go wstępem i obszernym — stosunkowo — komentarzem. Sądzimy tylko, że w niektórych miejscach tłumaczenie jest zanadto dosłowne i dlatego nie wszędzie czyta się gładko. Na str. 4 uderzył nas przekład Tob. 12, 7: „Przysięgę króla dobrze jest ukryć: dzieła zaś Pańskie objawić i wyznać zaszczytem jest"; nie wiemy, czy jest zgodny z oryginałem łacińskim (którego nie posiadamy), ale słowa te nie zrozumiałe i nie są wyjaśnione w komentarzu. U Wujka i w nowem wydaniu (poznańskiem) Pisma św. czytamy: „Tajemnicę królewską taić dobrze jest, ale sprawy Boskie objawiać i poznawać poczciwa rzecz jest".

X. A. P.

Wiadomości diecezjalne.

Archid. warszawska. Mianowani XX.: Mieczysław Węglewicz, dr. S. T. prefektem szkół średnich w Warszawie; Edward Szwejnic, rektor kościoła akademickiego instruktorem ministerjalnym nauki religji na całą Polskę; Kazimierz Fertak, wikar. par. Leszno, prefektem szkół powszechnych w Warszawie; Tadeusz Wardzyński, prefekt szkół w Warszawie, wikarjuszem par. Leszno; Włodzimierz Obidziński, prefekt szkół w Warszawie — jednocześnie kapelanem Zakładu Wychowawczego dla dziewcząt Warsz. Tow. Dobr. przy ul. Rakowieckiej 21 Marjan Przybyłko, wikarjuszem par. Kamieńczyk; Eugenjusz Szlenk, dr, kapelan Zakładu Wych. Warsz. Tow. Dobr. przy ul. Rakowieckiej, kapelanem Zakł. Wych. Zgr. SS. Nazaretanek przy ulicy Czerniakowskiej w Warszawie; Tadeusz Kiewlicz, kapelanem Zakł. Wych. Zgr. SS. Rodziny Marji przy ul. Hożej 53 w Warszawie; Antoni Ciechanowski, wikar. par. Zduny, prefektem szkół w Kutnie; Władysław Głowacki, prefekt szkół w Kutnie, wikarjuszem par. Zduny; Stefan Matuszewski, wik par. Babice.

Zwolniony X. Henryk Czapczyk ze stanowiska wikar. par Grodzisk na kurację.

Diec. włocławska. Mianowani XX.: dr. Józef Florczak, prałatem Bazyliki Katedralnej; Henryk Brzuszczyński, admin. w Radziejowie, proboszczem w Zbiersku; Konstanty Penkala, wik. par. św. Mikołaja w Kaliszu, proboszczem w Dobrosołowie; Stanisław Zawadzki, prefekt w Kaliszu, proboszczem w Brdowie; Franciszek Mączyński, M. S. T., wikarjuszem parafji św. Mikołaja w Kaliszu. Stefan Wyszyński, Dr Pr. Kan., wikarjuszem w Przedczu; Stanisław Piekarski, wikarjuszem w Uniejowie.

Przeniesieni XX. proboszczowie: Józef Markowski z Brdowa do Białotarska; Cezary Kantorski z Bierzwienny i Franciszek Ligenza z Godziesz Wielkich, jeden na miejsce drugiego; Stefan Trzask z Dobrosołowa do Drużbina; Paweł Bobotek z Drużbina do Chełmna; Wincenty Sikorowski z Chełmna do Charłupi Wielkiej; Grzegorz Domański z Białotarska do Burzenina. XX. wikarjusze: Wacław Tolkacz ze Skulska do Lubania; Czesław Domachowski z Chodcza do Skulska

Zmarli XX.: Kan. Jan Czyżo, jubilat, proboszcz parafji Burzenin, przeżywszy wieku lat 82, kapłaństwa 59; Kanonik Stanisław Maniewski, emeryt, przeżywszy 64 lata, a w kapłaństwie 40. R. i. p.

Diec. sandomierska. Mianowani proboszczami XX.: Paszkiewicz Symforjan w Koniemłotach, Raczkowski Stanisław w Kurozwękach, Kasprzycki Henryk w Bałtowie, Węglicki Jan w Przysusze, dr. Głąbiński Stanisław w parafji N. Serca Jezusowego w Radomiu, Boduszek Jan w Solcu, Chołoński Jan w Ożarowie, Szymański Piotr w Ruskim Brodzie.

Przeniesieni XX. wikarjusze: dr. Dudek Albin z Goźlic do parafji katedralnej, oraz mianowany notarjuszem Kurji diecez.; Sadowski Józef z Kamiennej do Łagowa Opatowskiego.

Komunikat.

Zgromadzenie Delegatów Tow. Wzaj. Pomocy Kapłanów odbędzie się we środę 26 listopada 1930 we Lwowie w domu Towarzystwa ul. Murarska 49.

Program: O godz. 8½ Msza św. za dusze zmarłych członków Tow w kościele N P. Marji Śnieżnej. O godz. 9 wotywna Msza św. o uproszenie błogosławieństwa Bożego dla narad. — O godz. 10 posiedzenie Delegatów w domu Tow. przy ul. Murarskiej 49.

Porządek dzienny posiedzenia Delegatów:

1. Sprawozdanie z czynności Wydziału Centralnego. 2. Sprawozdanie z komisji rewizyjnej, udzielenie absolutorjum za 1923—1930 r. 3. Przerachowanie udziałów wpłaconych w koronach i markach polskich. 4. Skala dla zapomóg stałych. 5 Norma dla zapomóg doraźnych. 6. Stosunek Tow. Kapłanów do funduszu emerytalnego diec. lwow. obrz. łac. 7. Sprawozdanie z „Domu Księży" i kościoła w Worochcie. 8. Sprawozdanie z administracji domów we Lwowie przy ul. Łyczakowskiej 25 i Murarskiej 47 i 49. 9. Wybór prezesa, wiceprezesa i członków Wydziału Centr. 10. Wnioski członków.

Uprasza XX. delegatów o przybycie, aby nie zabrakło kompletu. W razie niemożności przybycia, prosimy uwiadomić o tem Wydział i przesłać pełnomocnictwo do głosowania w jego imieniu. Pożądaną byłoby rzeczą, aby X. delegat przysłał pełnomocnictwo do Wydziału z żądaniem, by Wydział desygnował jednego z obecnych do zastępowania. Zdarza się bowiem, że pełnomocnictwo mają nieobecni.

Od Wydziału Centr. Tow. Wzajemnej Pomocy Kapłanów we Lwowie:

X. Janusiewicz, sekretarz. *X. Tabaczkowski,* za prezesa.

Wydawca: Tow. „Bibljoteka Religijna“. Odpow. redaktor: X. Dr. Pechnik.
Z drukarni Tow. „Bibljoteka Religijna“ pod zarządem Jana Przyszlaka — Lwów, Ormiańska 13. Tel. 24-61